

BlACk hAND



K.P.
28.02.13

Adam Cebula "Majsterklepka czyli groźny haker"

Fahrenheit Crew

Kim jest haker? W tak zwanym medialnym pojęciu to groźny osobnik, który coś tam robi i wyłączają się światła na ulicy, wariują komputery, a hydranty wystrzelają niczym rakiety na Księżyc.

Haker jest zapewne osobnikiem narodzonym gdzieś na początku tej nowszej informatyki, gdy bywała ona jeszcze cybernetyką i nie bardzo chciała się zdecydować, czym tak naprawdę ma być: poważną technologią czy nurtem pop-artu, jakim jest właściwie dzisiaj. Informatyka popularna, komercyjna, zajmuje się dostarczaniem gadżetów; nie rozwiązuje problemów, raczej ich dostarcza.

Złośliwe rzeczy przedstawienie służy wyjaśnieniu zawiłości postaci hackarza, którego kiedyś wymyślił Piotrek Surmiak. Ów nasz hakerz, nie ten z powieści, ale rzeczywisty, wychodzi z założenia, że pomimo wszystko komputra da się użyć do różnych przydatnych rzeczy i często-gęsto są to zadania, których producent nie przewidział. Na przykład możesz na tak zwanym domowym pececie zainstalować ów dziwaczny system Linux i wtedy na przykład silniejsza maszyna może służyć za serwer, zaś kiepsiejsza za terminal. Możesz udostępniać moc obliczeniową choćby na terenie swojego domu, i w ten sposób opóźnić kupowanie kolejnych płyt głównych i procesorów.

Po wielokroć już pisałem, że taki był plan. Komputer to maszyna budowana dla ludzi, którzy na komputerach się znają. Zadaniem projektanta maszyny jest nieograniczanie użytkownika. W rzeczy samej, hakerz to user, który próbuje korzystać z maszyny zgodnie z jej przeznaczeniem. Może odrobinę więcej: dość często haker dostrzega możliwości, których nie zauważył (albo chciał wręcz je usunąć) producent urządzenia.

Tak naprawdę hakerom zawdzięczamy nową klasę produktów: "superkomputery" na bazie kart graficznych. To oni zauważyli, że to coś, co zostało zaprojektowane pod bardzo wąską klasę zadań, pomimo wszelkich ograniczeń daje się jednak zastosować poprzez odpowiednie oprogramowanie do prowadzenia złożonych równoległych obliczeń.

Mało kto zdaje sobie sprawę z tego, że ludzie zajmujący się bezpieczeństwem systemów komputerowych wykonują robotę, którą przypisuje się – jako najbardziej charakterystyczną – hakerom. Szukają sposobów na złamanie systemów. To oni bardzo często pokazują, że firmy nas zwyczajnie nabierają, że zabezpieczenia, które nam oferują, są często prymitywną ściemą. Jedna z najśmieszniejszych historii dotyczy np. szyfrowania dokumentów w pewnej flagowej suicie biurowej. Okazało się, że owszem, do otwarcia pliku potrzebne jest hasło, ale tylko w produkcie tej firmy. Wystarczyło użyć innego programu, a nie tylko ukazywał się cały dokument, ale i to tajne hasło.

Kim w rzeczywistości jest haker? To ktoś, kto się zna i nie dowierza firmowym zapewnieniom. Ktoś, kto miesza w obrazie świata zbudowanym przez speców od marketingu. Ktoś, kto w istocie chroni nas przed oszustami i brakorobami. Ktoś, kto pokazuje, że można pomimo nadętych min tak zwanych fachowców zrobić coś całkiem inaczej, taniej, że owi eksperci są często samozwańcami. Że robią nas w konia. Oraz jak się przed tym strzec.

Włamań komputerowych dokonują crakerzy. Jak ich zwał, to inna sprawa, ale to też całkiem inna kategoria ludzi. Craker jest biernym konsumentem wiedzy wyprodukowanej przez hakera. Craker żywcem kopiuje skrypty i używa ich do włamań, często produkuje narzędzia do prostych tricków,

takich jak łapanie ludzi na oszukańcze strony internetowe. Lecz nie jest typem poszukiwacza, dociekliwym eksperymentatorem. Jego wiedza jest zwykle mizerna. Sukcesy są przypadkowe, rzadko bywają podparte jakąś solidną i zorganizowaną robotą. Różnica jest taka, że o prawdziwych hakerów biją się koncerty, aby ich zatrudnić, czasami tylko dla prestiżu, że stać ich na taką gwiazdę, zaś crakerzy to ludzie, których wywala się ze szkół i z roboty. Ale to haker budzi grozę. Choć w rzeczywistości to facet, który pokazuje drogę, jaką prawdziwi włamywacze mogą się dostać.

Kim jest majsterkowicz? Ostatnimi czasy postać obśmiewana. Samoróba jest symbolem czegoś kiepskiego czy wręcz niebezpiecznego. Jakoś tak się porobiło, że w ostatnim czasie taki pan "zrób to sam" staje przedmiotem kpin, symbolem zacofania, dziwaczenia i do tego przedstawia się go jako kogoś stanowiącego zagrożenie dla społeczeństwa. Bo na przykład weźmie i coś naprawi, a samodzielna naprawa czegokolwiek z definicji grozi. Nie za bardzo wiadomo czym, ale przyjęło się mówić i pisać, że grozi. Naprawiać powinien tak zwany fachowiec. W ogóle społeczeństwo dzieli się na fachowców, ekspertów i całą resztę. Reszta ma słuchać i wynajmować tych pierwszych.

Najgorzej, gdy owa reszta zaczyna się zajmować tym, co wolno tylko fachowcom. Przykro, do tej pory pisałem o rzeczach prawie socjologicznych, uniwersalnych i zrozumiałych. Zrozumieć musisz, że wiedza o świecie współczesnym bez wiedzy o technologii jest niczym ów cymbał grzmiący albo miedź brzęcząca. Aby cokolwiek była warta, trzeba nie tylko odróżniać samochód od konia (był taki kawał o bacy w zoo), ale też konia mechanicznego od kilowata, i to pomimo tego, że są dość do siebie podobne... Taka przykreść: aby wypowiadać się o roli auta w życiu współczesnego człowieka, przydałoby się zajrzeć po maskę, umazać łapska w towocie i zrozumieć, czym jest pojemność skokowa, oraz wyliczyć suwy i ich funkcję w silniku, a jakże, czterosuwowym. Musi być coś o technice, jeśli nie chcemy tylko czystego opisu gadulstwa.

W roku 2012 Polcon odbywał się we Wrocławiu. Zostałem zaangażowany do zaopiekowania się częścią wykładów. Uznałem, że dobrze byłoby wykonać kilka zdjęć. Dokumentalnych. Dokumentalne to znaczy wyraźne. Nie jakieś artystyczne, czyli rozmazane, nie, każdy powinien się na nich rozpoznać.

Fotografia, taka artystyczna, ludziom się kojarzy z wernisażem. Ściszone głosy, ważenie opinii, to panie kolego wyszło, tamto chyba by można inaczej. Fachowość, co oznacza zgodę co do kanonu wiedzy, powściągliwość w wyrażaniu opinii.

Focistą jestem jak najbardziej amatorskim. Aliści pochodzę z czasów (ha, wypada o sobie mówić, pochodzę z czasów, gdy człek z wolna staje się zabytkiem), gdy wypadało ciut na fotografii się znać. Więc wiedzy tyle, że gdy spojrzałem na miejsce, które trza obpstrykać, zauważyłem problem. Jak ludzie na zdjęciu, to przez to, że żywi ludzie się ruszają, czas najlepiej jakby był gdzieś około 1/400. Nie można zejść poniżej 1/50, bo zaczną wychodzić zdjęcia artystyczne. Jednocześnie muszę użyć dość dużej przesłony, bo będę chciał sfocić salę z ludźmi, a ta jest długa i szeroka. Nie mogę użyć wysokich czułości ISO, bo na ciemnych ubraniach powyłażą kolorowe plamy.

Dobrze by było mieć sporo światła. Na taką okoliczność firmy mają gotowe rozwiązanie: systemowe lampy ze sterowaniem podczerwienią. Lampa systemowa, czyli lampa firmy Canon do aparatu Canon, i taka, która nie jest atrapą, owszem atrapę też można nabyć, taka co daje dużo światła, kosztuje jakieś półtora kafla do dwóch. Do tego przydałby się softbox i statyw do światła. Lamp potrzebuję dwu, co najmniej, statywu z softboxem nie ma gdzie ustawić.

Aliści rozwiązanie jest profesjonalne: softbox rozprasza światło, unikniemy bardzo nieprzyjemnych ostrych cieni. Zaś lampa systemowa współpracująca z aparatem pozwala na kontrolowanie siły błysku. Nie muszę się martwić tym, że przepalę albo niedoświetlę ujęcie, firmowa maszyna załatwi za mnie idealne dobranie ekspozycji. Myślę, że to warto podkreślić: z firmowymi lampami fotografuje się jak zwykle, to znaczy, jak bez lamp. Wszystko, także ustawienie siły błysku załatwia za

mnie automatyka. Raz jeszcze: jak zwykle, to znaczy podnoszę do oka aparat, naciskam spust do połowy, czekam na potwierdzenie układu automatycznej regulacji ostrości i pstryk, czyli robię zdjęcie. Żadnego główkowania, czy wyjdzie, czy nie.

Co kombinuje majsterklepka? Tak czy owak, potrzebuję dużo rozproszonego światła. Przy fotografowaniu tych przy katedrze, wykładowców, mogę sobie poradzić za pomocą lampy na aparacie posadzonej na sankach z palnikiem skierowanym w sufit. To standardowa metoda fotografowania. Daje ładne rozproszone światło, działa automatyka. Niestety, nie zadziała przy fotografowaniu całej sali. Światło będzie wyraźnie zanikać z odległością od aparatu. Po pierwsze, daleki plan będzie niewyraźny, ginący w ciemnościach, a chodzi nam o to, by zdjęcie było dokumentalne, po drugie, efekt pociemnienia planu z odległością daje bardzo nieprzyjemny, "duszący" efekt.

Na taką okoliczność na filmowym planie mamy oświetleniowca z mrowiem asystentów, trzema ciężarówkami sprzętu firmy Chimera wartości kilku kamer, elektryków z burczącym nieznośnie agregatem prądotwórczym oraz techników z kluczami, podnośnikami, kolejną ciężarówką sprzętu. Albowiem światło jest jednym z najważniejszych i najtrudniejszych problemów. Masz światło, masz zdjęcia, nie masz - możesz mieć wszystko inne, wyjdzie kicha.

Z powodu światła na filmowym planie nie może być publiczności. Będą zaplątani w kable, połamani spadającymi statywami i umieszczonymi na nich lampami, zniszczone softboxy i tak dalej. Niestety, impreza nie za bardzo ma sens bez publiczności. Musimy też dodać, że trywialne rozwiązanie, zapalenie światła na sali, tego "zwyczajnego", do oświetlenia, nie wchodzi w rachubę, bo zwykle potrzebny jest jakiś rzutnik multimedialny. Lampa błyskowa jest jedynym możliwym urządzeniem, które jednocześnie zadowoli nas, z aparatem w garści, oraz nie rozjuszy wykładowcy i miłych gości, dla których przecież to wszystko, także i fotki. Mamy problem.

Nieźłym rozwiązaniem jest rozproszenie światła, załatwiamy je poprzez skierowanie palników lamp w sufit albo ścianę. Utworzymy duże plamy światła poza kadrem. Ależ oczywiście, światło odbite od sufitu jest dużo słabsze od światła odbitego od wnętrza softboxu. Ale może go wystarczyć? A jeśli będzie mało, to zaczniemy się martwić. Może użyjemy jeszcze jednej lampy więcej? Coś wymyślimy...

Pomysł jest przynajmniej do rozważenia: co prawda potrzebujemy kilku lamp i już na pierwszy rzut oka widać, że proporcje kosztów będą jak przy średniej produkcji filmowej, więcej zapłacimy za lampy niż za samochód, którymi zostały przywiezione, ale ma szansę zadziałać.

Majsterklepka urządza się tak: na aparat nakłada nadajnik radiowego wyzwalania lamp. Niesystemowy, jakiejś podejrzanego firmy. Podejrzewa bowiem, że sprzęt, mimo pochodzenia z nieprawego łoża, będzie dobrze działał. Za źródło światła obiera jeszcze bardziej podejrzaną chińską lampę błyskową, zwaną żarówką błyskową. "Żarówka" - bo ma toto gwint E-27, taki, jak zwykle żarówki. Co prawda żadnego sterowania podczerwienią, zero automatyki, kłopot z ustawieniem aparatu, ale nas na taki sprzęt stać. Nie popełnimy samobójstwa, gdy ktoś coś przypadkiem rozdepcze.

Co z ekspozycją? Jak uniknąć niedoświetleń albo przepałów? Jeśli uzyskamy dostatecznie rozproszone światło, będzie ono też równomiernie rozłożone w pomieszczeniu. Właśnie o to nam chodzi, o uzyskanie akceptowalnie równomiernego natężenia. Jest domniemanie, że skoro "dość równe", wystarczy raz je zmierzyć i jechać cały czas na tych samych nastawach.

W praktyce okazuje się, że lampy można prawie ciepnąć na podłogę. Dość pobieżne rozłożenie instalacji i mamy całkiem niezłe efekty. Zgodnie z teorią, po ustawieniu aparatu na manual można bez strachu robić zdjęcia: ekspozycja praktycznie jest stała, jak by się nie obrócić. Mówiąc krótko:

załatwiamy problem bez wysiłku, bez kombinowania i skutecznie.

Koszt maszynierii, jakiej użyłem, nie przekracza czterech stówek. Dużo? Wersja profi zamknie się kwotą od 3 do 5 ksz. Najmniej.

Uważny czytelnik powie: a gdzie tu jakieś majsterklepstwo? Wszystko zostało zrobione w fabryce, delikwent tylko poskładał do kupy gotowce. To nie ma nic wspólnego ze *zrób to sam*.

Otóż mylisz się, uważny czytelniku. Autor też tak myślał, jak ty. Świetny pomysł, jak sobie tanio i sprawnie poradzić, prawda? Wszelako okazało się, że to, co zrobił, było właśnie taką groźną samorobą, prawie samostrzałem, który mógł... Nie bardzo wiadomo, co, ale próba zaprezentowania powyższego na forum fotograficznym skończyła się załamywaniem rąk. "A czy wiesz, że mój najmniejszy softbox ma 60 cm?" – tłumaczył mi pewien profesjonalista. Spodziewam się.

Byłoby próżną przechwałką opowiadać, że prezentacja metody spotkała się z kruczatą środowiska przeciwko mnie. Chciałbym. Pewnie, bo jak mówią, ale z nazwiskiem, to nie jest ważne co: to popularność. Inna sprawa, po co mi ona, ale popularność w naszym porąbanym świecie zawsze na coś się daje przerobić. Niestety, nie zaprezentowałem się na dosyć szerokim forum, by napisały o mnie tabloidy, aliści bardzo charakterystyczne było właśnie to, że przynajmniej kilka osób starało mi się wytłumaczyć, że to, co zrobiłem, jest bez sensu. Argumentem w dyskusji była oczywiście ich profesjonalność. Natomiast najbardziej zastanawiający był wysiłek, ciężka praca, jaką wkładali w to, by zniechęcić innych, ale także i mnie, do stosowania wymyślonej i sprawdzonej samodzielnie metody.

Rzecz w tym, że zadanie oświetlenia sali jest akurat dobrze mierzalne. Można obiektywnie sprawdzić, czy wychodzi, czy nie. Jak? Bierzmy tzw. leszmiarkę, czyli światłomierz do światła błyskowego. Jeśli przespacerujemy się z nim po sali i uzyskamy nierównomierność w granicach +/- 1 EV, to cyfrówką można pstrykać. Schody byłyby, gdyby pstrykać na slajdach. Kiedyś najbardziej profi sesje robiło się na takich materiałach. Były bardzo czułe na błędy w oświetleniu, dlatego starszą analogową techniką nie dałoby się focić z partyzanckim systemem lamp. Mamy historyczny powód przeświadczenia, że nad ekspozycją trzeba się trząść, chuchać i dmuchać na nią, lecz wiemy, co się zmieniło. Robimy "syfrówką", wystarczy bele co.

Można powiedzieć po drugie, wiemy z czego te lęki i przyzwyczajenia się biorą. Po pierwsze, jest prosty sposób sprawdzenia, czy zadanie zostało wykonane, czy nie, i oceny "profesjonalistów" nie mają nic do rzeczy. To się mierzy.

Myślę, że detaliczne omówienie techniki w tym przypadku służy wyjaśnieniu wątku humanistycznego. Nie uda się z pewnością określić zakresu zjawiska, ale jego treść jak najbardziej. Oto są ludzie, których bardzo porusza, co ja gdzieś daleko robię. Zastanawiająco porusza ich moja opinia czy opowieść. A choćby i głupia: ileż durnoty jest w Internecie! Najwyżej popsujemy zdjęcia. Co to kogo obchodzi?

Czy wiesz, czytelniku, co to kundel? To sympatyczne określenie nie zwierzątka z gatunku *Canis familiaris*, ale obiektywu tak zwanej niezależnej firmy. Warto zacząć opowieść od tak zwanego początku, od zamierzchłych czasów aparatów skrzynkowych, które były majstrowane jako coś niezależnego od optyki. Jedni robili obiektywy, inni do nich dorabiali skrzynie, które pozwalały wykonywać zdjęcia. Kiedyś producenci starali się zapewnić sprzętowi uniwersalność. Do skrzyni zwanej dumnie aparatem powinno pasować jak najwięcej innego osprzętu. Kiedyś były dwa, trzy standardy mocowania obiektywów i było to tak samo naturalne, jak to, że filmy małoobrazkowe mają znormalizowane wymiary respektowane przez wszystkich producentów na świecie. Potem firmy się wyspecjalizowały i okazało się, że nie jest dobrze, gdy nasze pasuje do konkurencji, i na odwrót. Czy

na pewno nie jest dobrze, nie wiemy, ale tak wyszło. Aparaty zaczęto produkować od początku do końca w jednej firmie. Ale... fotografia ma fatalną cechę: to, że pstrykacze miewają bardzo różne potrzeby. Jeden chce sfotografować Księżyc, chce obiektyw wąskokątny, inny wręcz przeciwnie, strasznie szerokokątny. Dobrze jest, gdy aparat ma modułową konstrukcję i daje się różne jego części dobierać do konkretnych warunków.

Wymienne obiektywy są charakterystyczną cechą dobrego aparatu. Pomimo że tak zwane topowe firmy zdają się wyłazić ze skóry, by to uniemożliwić, trudno, by jakieś inne firmy nie próbowały popsuć nam szyków i nie zmajstrowały szkieł pasujących do naszych aparatów. Głównym wyróżnikiem i bronią jest tu tzw. bagnet, czyli mocowanie, którego kształt jest inny dla każdego tak zwanego systemu. Tak, były czasy, gdy obiektyw od Zenita pasował do Praktiki. Dziś w ramach jednej firmy masz kilka różnych systemów. A jednak całkiem inna fabryka potrafi zrobić tak, że pasuje.

Taki produkt innej firmy zwany jest kundlem. Jak widać i słysząc, nie jest to określenie pozbawione emocji. Kundle zwykle są tańsze. Ale... niekoniecznie. Gorsze? Jakość obiektywu to kilka łatwych do zmierzenia parametrów. Jest zadziwiające, że pomimo tego, że są dobrze znane od mniej więcej końca XIX wieku, a nawet od połowy, że mamy świetne metody pomiarowe, to ludność, gdy okazuje się, że ów kundel ma się lepiej od obiektywu firmowego, albo ciut zaledwie gorzej, czyli w praktyce tak samo, warczy, gdy się o tym dowie. Tym bardziej dziwne, że zazwyczaj nie ma takiej sytuacji, że tu lepiej, tam gorzej, większa rozdzielczość, ale duża aberracja chromatyczna; to akurat niemożliwe. Zazwyczaj mamy taki przypadek, że wszystkie parametry są lepsze.

Dosyć charakterystycznym dla humanistycznych na technicznej niwie rozważań jest wypadek, gdy takiego samego, a nawet podobnego obiektywu nie ma w ofercie producenta systemu. Myślę, że dosyć dobrym przykładem mogą być (tele)obiektywy lustrzane. Oto jest sobie dziwne firma Samyang, która wystartowała z obiektywami tejże konstrukcji 500- i 800-mm. Cechy charakterystyczne w stosunku do, nazwijmy, klasycznej konstrukcji, to mały ciężar, małe wymiary i - może na samym końcu - niska cena. Wszelako dwa pierwsze mogą i - proszę mi wierzyć - mają dość zasadnicze znaczenie, gdy na przykład mamy pomysł zabrania aparatu na długą wycieczkę. Bo w ofercie na przykład Canona jest obiektyw 800-mm z pewnością optycznie lepszy, ale jego waga to 4,5 kilograma, długość to 46 centymetrów. Cena zaś jest jakieś 50 razy wyższa niż naszego Samyanga. O czym przez chwilę zapomnijmy.

Waga naszego kundla to ok. 1 kg, rozmiary - 11x11 cm.

Oczywiście że ciężkiej, półmetrowej rury nie zabierzemy na wycieczkę, że będzie nam przeszkadzała nawet podczas podróży samochodem. Jest też taki efekt, że techniczna jakość zdjęcia, na przykład subiektywnie odczuwana ostrość, jak się spodziewamy, nie będzie dowolnie długo rosła z polepszaniem się parametrów obiektywu. Co już kilka razy tłumaczyłem, jak na normalnym zdjęciu, normalnie skomponowanym i oglądanym normalnie, czyli z takiej odległości, byśmy je widzieli pod kątem 45 stopni, typowo kartka A4, w odległości dobrej do czytania uda się zarejestrować mniej niż 1350 linii po dłuższym boku, a około 950 po krótszym, to fotografię widzimy jako ostrą i nic więcej na niej nie zobaczymy. Granicę stanowi rozdzielczość oka. Oczywiście można sobie wyobrazić oglądanie zdjęcia pod lupą. Tylko to już nie jest normalne...

Trzeba się pogodzić z faktem, że na rynku nie ma właściwie obiektywów, które nie pozwalałyby zrobić ostrych zdjęć. Bo nikt by takiego sprzętu nie kupił. Czym jest lepszy obiektyw Canona od Samyanga? Trochę jaśniejszy o jedną przesłonę, ma lepszą rozdzielczość kątową i można dokonać kropka. Różnice do pokazania, ale nie na tych normalnych, normalnie oglądanych zdjęciach. Niestety, w pewnym zakresie parametrów za bardzo niewiele płaci się bardzo, bardzo wiele.

Spróbuj tylko powiedzieć, że chyba nie za bardzo się opłaca wyłożyć 50 zł za to niewiele... Wykpią, wyklną, klątwę rzuca.

Nie było jeszcze o prawdziwych samoróbach. Oto wykonałem sobie sterownik do lamp błyskowych, taki, który umożliwia odpalenie kilku, który izoluje – cóż, padnie fachowe określenie – galwanicznie lampę od aparatu. Oczywiście że źle, bo samoroba.

Wszelako, gdy porównać poziom zaangażowania interlokutorów w trzy przykładowe problemy, to powiedziałbym, że przypadku pierwszego dyskutanci chcieli zaledwie kary chłosty za namawianie do niesystemowych lamp błyskowych, za kundla, czyli odmawianie sensu kupowania obiektów za, przypomnijmy, jakieś 50 zł, spalić na stosie. Natomiast w przypadku własnych wyzwalaczy do lamp, ewidentnie samoróbna sprawa, stosunek był nawet wyważony. Coś w stylu, że będzie szereg problemów. Najważniejsze – "ale ja tego na pewno nie będę robił". Bo nie jestem hackerem.

Jakieś wnioski? Może od przypadku ostatniego sterownika do lamp. Najbardziej majsterklepki – chyba to ocena subiektywna, nie podparta solidną statystyką, najmniej emocji. Powiem od razu, że pomysł "zobiektywizowania" badań rozpisaniem ankiety jest naiwny. Na takie wpadają jedynie socjologowie. Nie dostaniemy łatwo użytecznego wyniku, jedynie można domniemać: to najmniej ludzi rusza. Powód?

Hackarz, majsterklepek oraz wróż to mniej więcej podobna kategoria innych ludzi. Nie zajmujemy się marginesem. Chyba chodzi o to, że moja opowieść – czy rada – "zrób to sam" została odebrana na zasadzie: rzuciłem klątwę. Tak, ale ćwiczyłeś ją dziesięć lat, masz elfie uszy, jesteś z innej rasy.

Przypadek oświetlenia sali: majsterklepiesz nie wówczas, gdy zrobisz coś samodzielnie. Odmieńcem zaczynasz być, gdy samodzielnie kombinujesz, jak użyć – nawet bez ingerencji w konstrukcję – rzeczy ze sklepu. Nie chodzi tu o pomysły w stylu zrobienia grilla z wózka ze sklepu samoobsługowego, ale o dziwo coś, co w nie tak dawnym czasie było elementem wiedzy rzemieślniczej. Jak ktoś ma dostęp do książek Witolda Dederki, to zauważy, że nie wymyśliłem niczego nadzwyczajnego. Ten przypadek ilustruje, że wiedza ogólna zostaje zastępowana wiedzą marketingową. Zapamiętaj sobie: nie to, co w podręcznikach, ale to, co w reklamie.

Przypadek kundla, gdy chcą spalić na stosie: nie będziesz nam chamie burzył prostego obrazu świata, czyli "więcej zapłaciłem, to mam lepiej". Uświadamianie, że potrzebne są jeszcze jakieś warunki, doprowadza niektórych do białej gorączki. Jak komuś coś takiego opowiadasz, to crakujesz jego świat. Włamujesz się do jego uporządkowanego systemu i doprowadzasz do totalnego wymieszania danych...

Jak się rozejrzeć, to zauważymy, że majsterklepka jest negatywnym bohaterem wielu współczesnych bajek. Na przykład facet, który potrafi zadbać o swój samochód. Jeździ dziesięcioletnim gruchotem. Powinieneś kupić jak najszybciej najnowszą pralkę automatyczną, lodówkę, a także i telewizor, bo niszczysz środowisko. Jak niszczysz, trudno zrozumieć, mnie natomiast łatwo zrozumieć ludzi, którzy się przed tym wzbraniają. Bo nowe urządzenia w porównaniu ze starymi okazują się nie tylko tandetą, ale jeszcze są produkowane jako nienaprawialne. To zupełnie inna sytuacja, jeśli padnie w pralce grzałka i klnąc, wymienisz jej grzejnik w pół godziny, niż gdy padnie i musisz wymienić całą pralkę i poświęcić na to pół dnia. I jeszcze zapłacić za wywóz starej, bo panowie ze sklepu wywinęli się od jej taszczenia w dół obietnicą, że jak będą wracać to...

Gdybym miał zbudować medialnie poprawną postać przeciętnego przedstawiciela ludzkiej populacji w Przywiślańskim Kraju, to ta przeciętnie pozytywna postać skończyła jakąś dziwną uczelnię typu dziennikarstwo i marketing, nie ma pracy, ma dług, ma skłonności homoseksualne i jest z tego powodu prześladowana, ma dług we frankach, ściąga z sieci nielegalnie – Bóg raczy wiedzieć po co

- jakieś ogromne ilości oprogramowania, co faktycznie jest nielegalne, i wszelkiej maści utworów, co jest legalne, o ile tylko przestawić torrenta w tryb pijawki. Komputer tej osoby jest zawirusowany, ona sama nie może wytrzymać bez kompowych gier, musi popalać trawkę. Długów nie może oddać. Ma dyskalkulię i nie może zapanować nad swoimi instynktami seksualnymi, przez co powinna co chwilę robić test na AIDS. Jest zupełnie wykluczone, by potrafiła cokolwiek sama, ocenić, kto ma rację w sprawie katastrofy smoleńskiej, albo czy ją nabierają w banku na kredyt. Pomysł, że samodzielnie naprawi sobie gniazdko sieciowe czy wymieni uszczelkę w kranie, stwarza zagrożenie katastrofą o znacznych rozmiarach. Wymyślenie dla niej własnego przepisu kulinarnego to wyczyn.¹ Jedyne, co może dla siebie zrobić, to poprawić własną samoocenę albo asertywność.

Na (naiwny?) ludzki rozum ktoś taki powinien chcieć posiadać w swym otoczeniu osobnika, który naprawi gniazdko czy kran. Takiego, który powie, że do focenia ptaszków Samyanga możesz se kupić, tylko trzeba potrenować ostrzenie. W końcu mieć a nie mieć 50 zł – jest różnica, nie? A tymczasem nic z tego, jest inaczej. Dlaczego?

Mam wrażenie, że obowiązującą postawą dla niektórych jest to, co skutkowało w szkole spuszczeniem manta tak zwanym kujonom. Albo co zostało wyrażone w powiedzeniu "kto nie pije, ten kapuś". By nie budzić kombatanckich skojarzeń, praktyczna realizacja powyższego opisana została na wiele stuleci przed powstaniem ZSRR we „Fraszce na doktora”. Jak wszyscy są pijani, to nie ma problemu z opowieściami, gdzie kto puścił pawia i co opowiadał.

Po prostu równanie w dół, do najgorszych. Nic nas nie zmusza do postępu, postęp w formie tak zwanej pracy nad sobą, która jest niestety nieuchronnym skutkiem majsterklepstwa, zwyczajnie boli. Facet, który się zna, jest podejrzany. Nie pije – to kapuś albo kujon, haker, majsterklepka, rzuca czar albo używa samoróby. Ktoś niebezpieczny, kto może nas zdominować, jak czarownica. Najlepiej spalić na stosie.

¹ A, czemu nie, coś ode mnie w stylu *make life harder*: jedno opakowanie szmalcu (u mnie 40 deko) oraz cebula ad volumen. Bierzymy ronderek (ok. 1,5 litra) wrzucamy do niego szmalec, a cebulę w malakserze masakrujemy. Dobrze zdjąć te brązowe skórki. Zmalakserować tylko tyle, aby nie było wielkich kawałków. Wrzucić na szmalec i przysmażyć, by ładnie zmiękła. W ten sposób na jednym szmalcu przeżyjesz i tydzień, byleś miał jakiś chleb do niego. Jeśli masz jakieś warzywa, albo jabłka, możesz także zmalakserować i dodać. Pomarańcze się nie nadają.